

I powiadam wam, takó¿ się stało jak wcześniej powiedziałem. Krew bratnia przelana skrzepem swym ścięła wszystkie nasze poczynania i czas nasz z tego, co wyznacza się kolejną pracy w polu i biegiem Słońca, stał się czasem mierzonym ostatnimi ziarnami zbó¿ i spojrzzeniami rzucanymi za siebie podczas ucieczki przed naje¿d¿cą.

Jak to zostało wcześniej wspomniane, na niczym spełzły wysiłki w dą¿eniu ku jedności i zgodzie, wszelkie działania stały się takim samym popiołem, w jaki obróciły się nasze domostwa gdy książ morawski Bolesław ze swymi wojami przekroczył nasze ziemie. Miast muru z piersi walecznych mę¿ów wróg nasz napotkał otwarte zagrody, przera¿one niewiasty i trwo¿liwych kmiotów, miast okrzyku bojowego obrońców Morawianie przestraszyć się mogli jeno własnego pustego śmiechu, co ich był brał na widok naszej bezradności a miast bitwy i walki jeno uciechę z nas mieli.

Uciekła tedy cała ludność do lasów, by tam żyć jako zwierzęta w rozproszeniu i trwodze, i nie było dla nich nawet przywódcy, który by ich poprowadził, i wnet głód kończyć począł okrutne żniwo co je morawski Bolesław był zaczął. I tak się stało, że gdy wrogie siły wycofały się ci, którzy przeżyli walki z braćmi i obcy najazd, zimą zmagać się musieli z głodem, mnogość bowiem po¿ywienia została zagrabiona, a ocalałe zapasy wkrótce jęły się wyczerpywać.

Do tego więc doszło, że duża część skierowała się na miejsce ostatniego wiecu, gdzie spodziewali się ochrony na ziemi, która – choć zbrukana krwią – nadal pozostawała świętą i tam też wciąż była świątynia. Było to po cały rok owym pamiętnym wiecu, w roku 6499[991] i w świątyni tej ludzie mieli nadzieję znaleźć choćby odrobinę zapasów, a także okazję by przebłagać zagniewanych Bogów, gdyż nic innego jak bó¿y gniew sprowadzić mogło na nas wszystkie te nieszczęścia.

Jeno tak jest, że w czasie wojny i głodu nawet święte miejsce ochronić nie może dostatecznie przed brakiem strawy i ludzką niegodziwością. Było bowiem wtedy licho z wszelkim po¿ywieniem, jak i ludzie skłóćeni byli ze sobą i zgorzkniali. I tak się stało, że część pewna uchodzących odłączyła się od reszty i rozbój czyniła nie bacząc na święte miejsce i niedolę niedawnych współziomków. A i było też tak, że niektórzy widząc, iż zbójcom nie tak źle się wiedzie, chyłkiem uciekali i przyłączali się do owej zbrojnej bandy tak, że stała się wtedy ona znaczną siłą i znaczne stanowiła utrapienie, choć i jedni i drudzy głodowali. Tak przecie¿ jest, że biednemu bogactwa zrabować się nie da, a najeść się jadłem zabranym głodującemu też niełacno.

Choć nie jest to istotne i potwierdzone, i nie jest to także przedmiotem mojej opowieści, warto jednak wspomnieć, że ludzie w tym czasie dużo poczęli mówić o wszelkich widziadłach, upiorach i straszydłach, co się pojawiały w lasach i na uroczyskach jakoby wywołane czasem wojny, rozlewem krwi i tym, że uchodzącym często przychodziło pozostawiać zmarłych bez pogrzebania. Zostawiam to każdemu do rozważa, wiadomo bowiem, że choć na naszych ziemiach różne dziwy spotkać można, to strach wyolbrzymia często to, co nasze oczy widzą, a trwoga, wstyd i żale oszukują wzrok i co innego ka¿ą widzieć miast tego, co się rzeczywiście zobaczyło.

Tak owego czasu, nawet teraz niechętnie wspomnianego, jawił się los plemion nadnidziańskich, tak doświadczyła je nie tylko wroga napaść, ale i niezdolność do zgody, brak poszanowania dla świętych praw i woli Bogów. Z pouczeniem takim zostawiam opowieść tą niedokończoną, a dalsze wydarzenia na razie niechaj pozostaną częścią innej historii.

*To opowiedziałem i spisałem ja,
Bojara Daniły i Bojaryni Olgi druh, brat i sługa,
Wit Wojciechowicz Witow,
zwany Ciemnosłowym*